

Wojciech
Karpiński

120 dni

KULTURY

REDAKCJA

Mikołaj Nowak-Rogoziński

fundacja terytoria książki

Wojciech Karpiński

(ur. 11 V 1943 w Warszawie, zm. 18 VIII 2020 w Paryżu)

Pisarz. Współpracownik paryskiej „Kultury”, członek redakcji

„Zeszytów Literackich”, wieloletni pracownik

Centre national de la recherche scientifique w Paryżu.

KSIAŻKI WOJCIECHA KARPIŃSKIEGO

Od Mochnickiego do Piłsudskiego. Sylwetki polityczne

XIX wieku (wraz z Marcinem Królem), 1974, 1997

Szkice o wolności, 1980

W Central Parku, 1980

Cień Metternicha, 1982

Pamięć Włoch, 1982

Amerykańskie cienie, 1983

Chusteczka imperatora, 1983

Książki zbójcekie, 1988

Herb wygnania, 1989

Polska a Rosja, 1994

Fajka van Gogha, 1994

Portret Czapskiego, 1996

Prywatna historia wolności, 1997

Twarze, 2012

Obrazy Londynu, 2014

Henryk, 2016

Szkice sekretne, 2017

120 dni Kultury, 2021

Słowo wstępne

Na początku roku 2020 na świecie wybuchła pandemia koronawirusa. Zastosowano przeciw niej blokadę na nieznaną w dziejach skalę: zatrzęsnięto granice państw, wstrzymano międzynarodową komunikację lotniczą i kolejową, miliardy ludzi zatrzymano w domach, zamknięto kościoły, przychodnie lekarskie, biblioteki, muzea, teatry, księgarnie, restauracje, kawiarnie. Równolegle nastąpiła intensyfikacja komunikacji wirtualnej. Dzięki komputerom, telefonom komórkowym można było uzyskać konsultację lekarską, obejrzeć spektakl operowy, porozmawiać z przyjaciółmi ponad szlabanami granic.

W tej sytuacji spróbowałem podzielić się z innymi tym, co jest mi szczególnie bliskie i cenne. Postanowiłem wykorzystać fakt, że na Portalu Kultura Paryska można, nie wychodząc z domu, przeczytać wszystkie numery „Kultury”. Lektura tego pisma i dzieł „pisarzy zbójcekich” była najważniejszą przygodą duchową mojej młodości i do dzisiaj stanowi wydarzenie formujące o zasadniczym znaczeniu. Zaplanowałem serial o „Kulturze”: na facebooku Instytutu Literackiego codziennie zamieszczać będę wpis prezentujący ważne dla mnie teksty z paryskiego miesięcznika. Ułożyłem materiał w tygodniowe cykle tematyczne. Wyszło mi 17 tygodni (co daje 119 dni) plus jeden dzień zamykający serial, czyli „120 dni Kultury” (erudyta powie, że to

o 20 opowieści więcej niż w *Dekameronie* Boccaccia i dokładnie tyle dni, co w dziele francuskiego markiza – ale buchalteria ma tu niewiele do rzeczy). O takiej antologii marzyłem od lat. Pandemia ukazała mi potrzebę i możliwość szybkiej realizacji tych planów. Mikołaj Nowak-Rogoziński wyraził gotowość pomocy. Zaproponowałem projekt i przesłałem pierwszy gotowy tydzień Annie Bernhardt z Fundacji Kultury Paryskiej. Od 30 marca 2020 przez 120 dni punktualnie o 16.00 ukazywały się codzienne wpisy.

Kierowałem się wyraźnym kryterium. Wybierałem te teksty, które przemawiały do mnie w latach młodości, uczyły, jak patrzeć na świat, jak żyć, jak być bogatszym, swobodniejszym, i które po przeszło półwieczu zachowują nadal siłę oddziaływania. Dziękowałem mistrzom mojej młodości za dar, który od nich otrzymałem. Teraz chciałbym przekazać go dalej. Po raz kolejny utwierdziłem się w przekonaniu o bogactwie, które tkwi w polskim piśmiennictwie drugiej połowy XX wieku. Wypisywałem szczególnie cenne dla mnie fragmenty tekstów. Ich sekretna lektura powodowała przyspieszone bicie serca, gdy zbliżałem się do dwudziestki, zachowują siłę oddziaływania po sześćdziesięciu latach. Powstało kompendium bliskich mi „złotych gwoździ”, po które dzięki internetowi sięgnąć można w dowolnym miejscu na ziemi, biblioteka idealna literatury i wirtualne drzewo genealogiczne kultury. Chciałbym, aby te teksty stały się dla innych tym, czym były dla mnie w młodości i czym pozostają w późnych latach. Gdy młody d’Artagnan wyruszał z rodzinnego domu w świat, dostał na drogę balsam leczniczy i list polecający. Chciałbym, aby te strony były takim darem na drogę, balsamem na rany zadawane przez życie i listem polecającym do wybitnych pisarzy. Z własnego doświadczenia wiem, że mogą pełnić te magiczne funkcje.

Żyjemy w czasach, gdy po raz pierwszy korzystanie ze skarbów kultury nie jest elitarnym przywilejem wąskiej grupy

bogatyh i nie wymaga niezwykłego wysiłku. Od nas zależy, czym się będziemy interesować, co weźmiemy do czytania. To jest kwestia wolnego wyboru – i siły woli. Możemy budować własny swobodny i suwerenny dom Kultury, dom pamięci i wyobraźni. Powinniśmy zdobyć się na dystans do nieprzyjaciela, strzec się przed złodziejami czasu, zagłuszaczami naszego głosu. Taki mną kierował cel: wsłuchując się w swobodne głosy innych, obronić i wzmocnić własny głos, a przez to dochować wierności mistrzom wybranym za młodu.

Paryż, lipiec 2020

DZIEŃ I

Wacław Zbyszewski – Zagubieni romantycy

Wacław Zbyszewski w eseju *Zagubieni romantycy. Panegyryk – pamflet – próba nekrologu?* naszkicował w 1959 roku wizerunki ludzi skupionych wokół „Kultury”. I jest to, po przeszło półwieczu, nie tylko najbardziej błyskotliwy portret tej niezwyklej formacji, ale też nadal uderzający przenikliwością i rozległością horyzontów.

„Pamiętam, jak dwanaście lat temu Jerzy Giedroyc zainstalował się na nowych śmieciach w Maisons-Laffitte pod Paryżem. Pamiętam pierwszą kwaterę polową «Kultury»: starą rudere z wieżyczką, balkonem, tarasem, oszkloną werandą, cały zły gust XIX wieku, który, dzięki patynie starości, nabrał romantycznego uroku, wdzięku czasów, które odeszły. Dookoła stary, zapuszczony ogród, cienista aleja, pokrzywy, którymi porosły klomby i trawniki, szerniałe murki, rozłożyste drzewa, gąszcz krzaków, cień zagajnika, opadające tynki przypominały polskie dwory, przenosiły odwiedzającego w przeszłość, w miniony i bezosobowy czas. Ten dom, ten park były wyzwaniem naszemu stuleciu, były jakby symbolem, że czas wolno zatrzymać; a jest to jedyna niemożliwość na tym naszym świecie. W domu, ubogim i próchniejącym, znajdowała się na prawo od wejścia biblioteka i widok tych książek, pieczołowicie zebranych, ponumerowanych, pokatalogowanych, starannie odkurzonych, poukładanych na długich półkach aż po powałę – w tym domu, w którym nie było mebli, nie było opału, nie było nic – jeszcze zwiększał poczucie wyzwania świata, epoce, życiu, jeszcze pogłębiał wrażenie bezsensowności, jeszcze wyostrzał wrażenie zaczarowanego domostwa.

Mieszkańcy «Domu Kultury» odpowiadali ramom, w których się znaleźli. Żaden z nich zapewne nie był człowiekiem normalnym: wszyscy nigdy nie powinni byli znaleźć się pod jednym dachem, a znalazłszy się nie powinni byli nigdy pod nim wytrzymać. Jednych znałem dawno, innych wcale, sądziłem, że niektórych znałem dobrze, innych mniej. Złudzenia, złudzenia. Zawsze przypominają mi się mądre słowa Jasia Rostworowskiego w przeddzień jego zrzucenia w Polsce jako kuriera Londynu, z której to tragicznej misji nie miał nigdy powrócić. «Mój drogi, mówił mi ten niezwykle uroczy i inteligentny chłopak, najinteligentniejszy z tak utalentowanej rodziny Rostworowskich – i mówił to *à propos* kogoś zupełnie innego – mój drogi, im dłużej żyjemy, tym bardziej zdajemy sobie sprawę, że nie znamy nikogo, że najbliżsi są dla nas jedną wieczną niespodzianką!»”.

„Na pewno Czapski oddał i oddaje nadal «Kulturze» wielkie usługi jako *sui generis* minister spraw zagranicznych; ma on podwójną łatwość do nawiązywania stosunków i przyjaźni, i jako artysta, i jako hrabia, bo właśnie te dwie grupy społeczne – arystokracja i cyganeria – są najbardziej międzynarodowe, najmniej sztywne, najmniej zaściankowe w obcowaniu z cudzoziemcami. Ale te realne, konkretne usługi Czapskiego są nieważne w porównaniu z jego wkładem w życie duchowe, osobiste, towarzyskie, wewnętrzne *du petit cercle* Laffitte’u. Giedroyc daje poczucie Misji. Zygmunt sprowadza idealistów na twardy grunt rzeczywistości. Zosia daje motor wścieklej energii i ciepło rodzinnego gniazda. A Józio Czapski dodaje całości pocałunku fantazji”.

Wacław Zbyszewski, *Zagubieni romantycy. Panegiryk – pamflet – próba nekrologu?*, „Kultura” 1959, nr 10.

Za początek rozmowy o blaskach i cieniach wygnania, prowadzonej przez powojenną polską emigrację, przyjąć można szkic Emila Ciorana, Rumuna piszącego wspaniałą francuszczyzną, ogłoszony przez „Kulturę” w czerwcu 1952 roku w przekładzie i z komentarzem Witolda Gombrowicza. Esej Ciorana, zamieszczony w jego tomie *La tentation d'exister*, po francusku zatytułowany jest *Avantages de l'exil*, po polsku nosi tytuł *Dogodności i niedogodności wygnania*.

Cioran prowokuje. Pisarz na wygnaniu to dla niego zgorzknialec podszyty zdobywcą. Wygnaniec pragnie za wszelką cenę narzucić innym swoje imię. Jak to uczynić? Píše przecież w nieznanym języku. Przekład? Nie znajdzie tłumacza. Gdyby go znalazł, tłumaczenie okaże się zdradliwe. I kto je wyda? Kto sięgnie po egzotyczną książkę? Pisać w innym języku? Kto to potrafi? A jeżeli potrafi, to staje się kimś innym, dokonuje heroicznej zdrady, zrywa z przeszłością i, w pewnym stopniu, z sobą samym.

O czym i jak miałyby pisać? Pragnie opowiedzieć innym o swoich nieszczęściach. Jego tematyka szybko się wyczerpie. Nie można wciąż powtarzać obrazu wygnania, dlatego powieść, zdaniem Ciorana, nie jest gatunkiem dla wygnańca. Jego żywiołem jest poezja. Proza wymaga zróżnicowanego zaplecza społecznego, tradycji, ścisłości. Poezja wytryskuje, jest bezpośrednia lub też całkowicie wymyślona; jest domeną troglodytów i estetów. Wygnańcom, w początkach, ziemia ucieka spod nóg. To stan uprzywilejowany dla poety. Ileż wysiłków kosztowało Rilkego, aby stracić kolejne ojczyzny, zerwać więzi ze światem.

Wygnaniec dostępuje tego stanu tanim kosztem. Ale grozi mu, że przyzwyczai się do wygnania, że znajdzie w nim rodzaj przyjemności. W najlepszym razie będzie epigonem swoich rozpaczy. Wyschnie źródło inspiracji. Szukać będzie ocalenia, zależnie od temperamentu zanurzając się w pobożności bądź w sarkazmie. Wiara bądź humor, oto stacje końcowe pisarza na wygnaniu, jakim widzi go Cioran.

Na te błyskotliwe uproszczenia Gombrowicz odpowiedział *Komentarzem*, rozwijanym później w *Dzienniku*. Wedle Gombrowicza słowa Ciorana zieją stęchlizną grobu, lecz zbyt są małostkowe. O kim mowa, gdy pada określenie „pisarz na wygnaniu”? Mickiewicz pisał książki i pisuje je pan x wcale poprawne i nawet poczytne, obydwaj są „pisarzami” i notabene pisarzami na wygnaniu. Na tym podobieństwo między nimi się kończy. Rozmaite bywają rodzaje wygnania: Rimbaud, Norwid, Kafka... Każdy z wybitnych, wskutek swej wybitności, był cudzoziemcem w swym własnym kraju. Wielu z nich pisało przeciw czytelnikom, nie dla nich. Sławni stali się dlatego, że wyżej cenili siebie niż powodzenie. Każda sztuka, dodaje Gombrowicz, nie tylko emigracyjna, powstaje w najściślejszym związku z rozkładem, jest przetworzeniem choroby na zdrowie. Każda sztuka ociera się o śmieszność. Sztuka w ogóle jest cmentarzyskiem ambicji; na jednego, który zdołał się urzeczywistnić, tysiące niespełnionych. Brak honorów, oparcia o rodzime społeczeństwo? Ależ ta atmosfera cieplarniana sprzyja sztucznym hierarchiom. Pisarz, o którym wspomina Cioran, zdaniem Gombrowicza nigdy naprawdę nie zaistniał; to embrion pisarza.

Zanurzenie w świecie, jakim jest wygnanie, powinno teoretycznie stworzyć szansę dla literatury. Oto elita kraju wyrzucana zostaje za granicę. Może myśleć, czuć, pisać z zewnątrz. Uzyskuje dystans. Uzyskuje swobodę duchową. Pisarze powinni przemówić głosem silnym, samodzielnym. Tak się nie dzieje, komentuje Gombrowicz. Dlaczego? Bo są zanadto wolni.

Zagubieni w świecie, boją się; czepiają się kurczowo przeszłości, czepiają się jedni drugich. Boją się własnej swobody. Trzymają się jedynej nadziei, odzyskania ojczyzny. Zdaje im się, że zbiorowa siła emigracji powstać może tylko z rezygnacji z własnego „ja”. Pisarz stara się narzucić sobie i rodakom ślełą wiarę i wiele innych ślepot. Bezinteresowne myślenie staje się niebezpiecznym luksusem. Taki pisarz nie umie istnieć bez ojczyzny; na ołtarzu tej idealnej ojczyzny wyrzeka się myślowej niezależności; przestaje być pisarzem.

Emil Cioran, *Dogodności i niedogodności wygnania*, tłum. Witold Gombrowicz, „Kultura” 1952, nr 6.

Witold Gombrowicz, *Komentarz*, „Kultura” 1952, nr 6.

TYDZIEŃ 16

Polityka

Gdy myślę o tekstach w „Kulturze” pozwalających pełniej odnaleźć swoje miejsce w polis, w sferze politycznej, w zbiorowisku ludzkim, odetchnąć pełniej „powietrzem wolności”, wybić się na wewnętrzną suwerenność, w pierwszej kolejności przychodzą mi do głowy fragmenty *Dziennika* Gombrowicza, szczególnie niezwykle opis jego Wielkiej Podróży Transatlantycznej. To były „rytuały przejścia”, doświadczenia wystawiające na próbę własną osobowość. Dobrze je określi pod koniec życia w *Testamencie*, czyli w *Rozmowach z Dominikiem de Roux*. Chciał być „jak owi młodzieńcy, co pojawiają się na stacjach miast prowincjonalnych z tobołkiem, gotowi do drogi, i na widok nadchodzącego pociągu mówią: tak, muszę się oderwać od miasta rodzinnego, to dla mnie za ciasne, żegnaj, miasto, powrócę może do ciebie, ale tylko, gdy szeroki świat urodzi mnie po raz drugi”.

Napisał o pierwszej transatlantycznej podróży w pierwszym tomie *Dziennika*:

„A gdy na «Chrobrym» mijałem brzegi niemieckie, francuskie, angielskie, wszystkie te ziemie Europy zastygłe w lęku nieurodzonej jeszcze zbrodni, w klimacie duszącym oczekiwania, zdawały się krzyczeć: bądź lekkomyślny, nic nie znaczyś, nic nie zdziałasz, jedyne co ci pozostało to pijaństwo! Upijałem się przeto na swój sposób, to jest niekoniecznie alkoholem – ale płynąłem pijany, doszczętnie prawie zamroczony...”

Potem pękły granice państw i tablice praw, otworzyły się upusty ślepych sił i – ach! – nagle ja w Argentynie, zupełnie sam, odcięty, zgubiony, zaprzepaszczoney, anonimowy. Byłem

trochę podniecony, trochę przestraszony. A jednocześnie coś we mnie kazało mi powitać z namiętym wzruszeniem cios, który mnie niszczył i wytrącał z dotychczasowego porządku. Wojna? Zagłada Polski? Los bliskich, rodziny? Czy mogłem przejmować się tym w sposób, jak powiedzieć, w sposób normalny, ja, któremu to wszystko z góry było wiadome, który tego dawno doznałem – tak, nie kłamię, mówiąc, że od lat obcowałem w sobie z katastrofą. Gdy to nastąpiło, powiedziałem sobie coś w rodzaju: – ach, więc już!... i zrozumiałem, że nadszedł czas, aby wykorzystać tę zdolność rozstawania się i porzucania, którą w sobie wykształciłem. Nic przecież nie zmieniło się, ten kosmos, to życie, w którym byłem uwięziony, nie stało się inne dlatego, że skończył się pewien określony ład mojej egzystencji”.

Gombrowicz przedwojenny chciał uchronić się przed demoniczną mobilizacją formalną, narzucaną przez otaczający świat, a jednocześnie przed formą sklerotyczną narzucaną mu przez tradycyjną polską kulturę. Jego prośby zostały wysłuchane przez los, znalazł się po drugiej stronie równika, na drugiej półkuli, samotny, obcy, anonimowy. Po latach, ponad oceanem, znów w Europie, wspominał tamte chwile wygnania. „Odnawiałem w pamięci, chodząc po Tiergarten, moment niesamowity, gdy ja, Polak z roku 1939-go, znalazłem się w Argentynie, sam, sam, na łądzie zgubionym w oceanach, jak rybi ogon sięgający południowego bieguna, och, samotność Argentyny na mapie, jej zatracenie się w wodach, jej zepchnięcie w dół, zatonięcie w odległościach... Sam, zgubiony, odcięty, obcy, nieznan, utopiony. Jeszcze mi wtedy rozrywały bębniące gorączkowe wrzaski głośników europejskich, dręczył wojenny ryk gazet, a już zanurzałem się w mowę niezrozumiałą i w życie tak temu odległe. Co się zowie niesamowity moment. Cisza, jak w lesie, że słyhać nawet brzęczenie muszki, po huku lat ostatnich przedziwna muzyka – i w ciszy, wypełniającej, przepelniającej, zaczynają dochodzić mnie dwa słowa wyjątkowe, jedyne,

szczególne: Witold Gombrowicz. Witold Gombrowicz. Ja do Argentyny wyruszyłem przypadkiem, na dwa tygodnie tylko, gdyby zrzędzeniem losu wojna nie wybuchła w ciągu tych dwóch tygodni, wróciłbym do Polski – ale nie ukrywam, że gdy kłamka zapadła i zatrzasnęła się nade mną Argentyna, to było, jakbym siebie samego na koniec usłyszał”.

Witold Gombrowicz, *Fragmety z dziennika*, „Kultura” 1955, nr 3 i 1964, nr 9.